

Do transakcji nie doszło

TERESA BUGAJSKA z domu Wałęga córka Heleny i Kazimierza ur 10 VI 1936r w Borysławiu i tam zamieszkała do chwili deportacji.

Wspomnienia z deportacji, szczególnie pierwsze lata znam z opowiadań mamy, chociaż niektóre obrazy utrwaliły się mi również.

Mieliśmy duże mieszkanie z Kopalnictwa Naftowego, gdzie tato pracował jako elektryk.

Pod koniec sierpnia 1939r tato dostał kartę mobilizacyjną i poszedł do wojska.

Rosjanie zajęli Borysław 17 IX 1939r i po kilku dniach wyrzucili nas ze służbowego mieszkania. Przyjęła nas p.Książkiewiczowa do małego jednego pokoiku.

Ten obraz pamiętam dokładnie. Zbudziłam się, bo mama wy-szarpywała z mojego łóżeczka prześcieradło. Na podłodze była porozrzucana bielizna pościelowa, ubrania. W mieszkaniu zobaczyłam dwóch żołnierzy. Jeden grzebał w rozrzuconej bieliznie. Mówił, że szuka broni. Drugi żołnierz przeglądał album ze zdjęciami i ciągle pytał mamę kto jest na poszczególnym zdjęciu. Wystraszona, nic z tego nie rozumiałam. Widziałam, że mama jest zdenerwowana.

Jeden z żołnierzy powiedział do mamy: "Ubieraj się, pojedziesz do innej miejscowości". Mama odpowiedziała: "Ta inna miejscowość to Sybir".

Mama spakowała: poduszkę, pierzynę, pościel, ubrania i sznur do żelazka.

Zapas żywności mialiśmy w piwnicy. Żołnierz nie pozwolił zejść do piwnicy. Nie zechciał również iść z mamą do piwnicy po żywność.

Rewizja w tym jednym małym pokoju trwała do rana. Nad ranem weszła do naszego mieszkania stryjenka Anna Wałęga

/zawiadomiona przez naszych sąsiadów/. Trzymała w ręku ~~na~~ woreczek z biżuterią i złotem dentystycznym. Zaproponowała żołnierzom złoto, aby mnie nie zabierali. Zgodzili się na taką zamianę. Moja mama jednak stanowczo się sprzeciwiła. Powiedziała: "Co mnie, to i mojemu dziecku". Wtedy stryjenka poprosiła, aby w zamian za złoto zwolnili teściową. Tym razem zareagowała babcia. Powiedziała: "Ja z synową mieszkalam w dobrych czasach, teraz w nieszczęściu jej nie opuszczę".

W tej sytuacji stryjenka wyszła, żołnierze nie robili jej trudności.

Wyszliśmy z naszego pokoiku 13 IV 1940r

Apolonia	Wałęga	ur	?	babcia
Helena	"	1909		mama, synowa Apolonii
Teresa	"	1936		córka Heleny, autorka wspomnień.

Przed domem czekała furmanka na której byli:

Jakub	Miś	ur	1832	dziadek
Felicja	"	"	1905	synowa Jakuba
Danuta	"	"	1925	córka Felicji

Pani Miś trzymała w ręku stary budzik jak gdyby to była najcenniejsza rzecz. Usiadliśmy obok nich. Za nami obstawa. Zawieźli nas na dworzec kolejowy w Borysławiu. Wprowadzili do wagonu towarowego. Okienka zakratowane, zamalowane białą farbą. Drzwi zamknięto od zewnątrz. Prycze trzypiętrowe, nie można było na nich usiąść, bo tuż nad głową była następna prycza. W kącie wagonu dziura w podłodze. Wagon bez ogrzewania.

Płakałam, bo przez zamalowane okienko nie mogłam widzieć co jest na zewnątrz. Ktoś z mężczyzn przypalił papierosem farbę na szybie, trochę podskrobali i w ten sposób miałam małe okienko na świat.

W wagonie byli starcy, ludzie młodzi, dzieci i niemowlęta. Pani Sokołowska z Borysławia z dzieckiem dwu lub trzy miesięcznym. Dziecko wkrótce po przyjeździe na zesłanie zmarło.

Na stacji w Borysławiu długo stał pociąg. W tym czasie stryjenka zawiadomiła rodzinę we Lwowie, że jedziemy na Sybir. O tym dowiedziałam się po latach.

Przyjechaliśmy do Lwowa. Znow dłuży postój. Przez małe okno widzieliśmy jak po peronie biegali ludzie z tłumoczkami, wołali swoich. Usłyszeliśmy: "Helena Wałęga"! Zobaczyłam. Byli to nasi kuzyni. Przyniesli koszyczek z żywnością. W wagonie mężczyźni odbili kratę w okienku. Na lasce wciągnęli koszyczek z żywnością.

Prycze w wagonie były bardzo rozchwane, okropnie skrzypiały. Nie można było spać.

Pamiętam jak w nocy na postojach strażnicy z hukiem otwierali drzwi wagonu. Przynosili gorącą wodę i słone śledzie.

Początkowo dla małych dzieci matki gotowały na prymusie. Wybuchł nawet z tego powodu konflikt, że ~~matka~~ ~~nie~~ może się zapalić wagon.

W czasie podróży mama dostała ataku woreczka żółciowego. Miała bóle, wymioty, gorączkę. Na postoju wezwano sanitariusza. Stwierdził, że jest atak i poszedł. Nie udzielił żadnej pomocy.

Nie spałam, słyszałam jak dorośli między sobą mówili: "Wałęgowa chyba nie dojedzie na Sybir. Co będzie z córeczką"? Przeraziłam się.

Po kilkunastu dniach pociąg zatrzymał się w polu. Pozwolono nam wyjść z wagonu. Był piękny słoneczny dzień, zielona łąka z kwiatami. Wielka to radość, ale nogi jakoś się uginały. Wróciłyśmy z babcią do wagonu. Mama w ogóle nie wychodziła, nie miała siły.

Minęliśmy Ural. Od tej pory konwojenci nie jechali z nami, wagonu już nie zamykali.

Dojechaliśmy do stacji Jeziorna. Mama przy pomocy innych

wyszła z wagonu i doszła do samochodu. Samochodami ciężarowymi wieźli nas traktem z wybojami przez cały dzień. Przez całą drogę nie było drzew, zabudowań, tylko step.

Zawieźli nas do miejscowości Żarkul. Wieś - to lepianki, jurty.

Przed budynkiem administracyjnym czekali miejscowi ludzie, którzy przyjmowali nas na mieszkania. Nieufnie na nas patrzyli. Byli nastawieni, że przyjadą polskie burżuje. Oni byli faktycznie w łachmanach, a my na razie ubrani.

Zamieszkałyśmy u Ukrainki Jeleny Dońcowej w ziemiance. Ziemianka składała się z kuchni, pokoju i stajni. Okienko było w pokoju i kuchni, ale nigdy się nie otwierało. Drzwi otwierały się do wewnątrz mieszkania. Bardzo to ważne, bo przy dużych opadach śniegu nie można byłoby wyjść z ziemianki.

Gospodyni z synami spała w kuchni. W pokoju na żelaznym łóżku spała babcia, na drugim p. Cecylia Rewacka z Truskawca ze swoją córką Jadwigą ur. 1936r. Ja z mamą spałam za piecem na klepisku.

Zbudziłam się w nocy, bo poczułam pieczenie na ciele. Mama zapaliła świecę i widziałam jak zbierała ze mnie jakieś brązowe plamki, które się ruszały. Zapytałam mamy co to jest? Odpowiedziała: "To nic - to tylko pluskwy".

Były wszędzie. Na ścianach, suficie. Te z sufitu spadały na nas. W ciągu nocy nie raz budziłyśmy się i mama zbierała pluskwy.

Rano gospodyni poradziła mamie, aby w kołchozie zdobyć żółc zwierzęcą. Żółc dodana do wapna, którym pobielili się lepiankę wystraszy pluskwy. Nie było to łatwe, wszyscy chcieli zdobyć żółc.

Mama pracowała w kołchozie przy pracach polowych. Nigdy takiej pracy nie wykonywała, a tutaj jeszcze normy wyznaczone. Za pracę ponad jej siły, płacono w małych ilościach zbożem i ziemniakami.

Na razie sprzedawała zabraną z domu bieliznę i w ten sposób żyłyśmy.

Śniegowce z zamkiem błyskawicznym nie były tu znane. Dostała mama za nie wiaderko ziemniaków.

Rozchorowałam się na szkarlatynę. Taką diagnozę postawiła dr Kauska z Borysławia. Miałam wysoką gorączkę, majaczyłam. Gospodyni dawała mi do picia serwatkę i z serwatki mama robiła mi okłady na głowę.

Jak mama chodziła do pracy w kołchozie, mną opiekowała się babcia.

Pod jesień dostałyśmy list z Borysławia i Drohobycza. W grudniu 1940r nasza babcia dostała wylewu krwi do mózgu. Przyszła dr Kauska. Nic jednak nie mogła pomóc. Babcia zmarła. Wiem, że pochowali ją w skrzyni na miejscowym cmentarzu-stepie. Mieli trudności z wykopaniem grobu, ziemia głęboko zamarznięta. Na pogrzebie była mama i p.Miś. Modliły się nad mogiłą, a pracownicy ponaglali, bo chcieli zasypać mogiłę. Wprawdzie zbliżała się burza śnieżna.

Nadeszły święta Bożego Narodzenia 1940r. Od stryjenki Anny Wałęga dostałam małą tekturową choinkę, świece i cukierki. Od rodziny z Drohobycza opłatek, mąkę i cukierki.

Na wigilię mama zrobiła pierogi z razowej mąki, nadziane ziemniakami, bez przypraw i tłuszczu. Przyszło kilka polskich rodzin i nasza gospodyni z synami. Wszyscy zamaliśmy się opłatkami. Wszyscy myśleli o jednym, aby następne święta były w domu - w Polsce. Później śpiewaliśmy kolędy. Tego wieczoru moja śliczna choinka zapaliła się od świecy i cała spłonęła.

Mama pracowała w kołchozie przy pracach polowych. W okresie zimy nie miała pracy. Byłyśmy razem w ziemiance. Na brzegach gazety, skrawkach papieru rysowała mi owoce. Teraz znam je tylko z obrazka. Uczyła mnie alfabetu, religii, piosenek.

Tej zimy nie miałyśmy "kiziaków" na opał, w ziemiance było nam bardzo zimno.

Na wiosnę jak mama poszła do pracy w kołchozie, ja zostałam w lepiance sama. Nie tak zupełnie sama. Gospodyni pracowała jako nocny stróż. W ciągu dnia się mną zajmowała.

Zabierała mnie na fermę kurzą. Pracujące tam kobiety dały mi czasem jajko. Nakazywały, aby ukryć by nie zobaczył kierownik. Kręciłam się koło fermy krów. Udało mi się nie jeden raz dostać garnuszek mleka.

Do Żarkulu przyjeżdżało czasem kino objazdowe. W małej salce z klepiskiem ustawiali ławki. Przychodzili wszyscy. Jedyna rozrywka jaka tutaj była i to bezpłatnie. W kronice filmowej były śpiewane pieśni: "za bój, ojczyznę, Stalina". Później film o sukcesach na froncie. W czasie filmu ludzie jedli pestki słonecznika, łupiny wypluwali przed siebie.

Mama przed wyjazdem do pracy na sianokosy, dała gospodyni poduszkę, a ona dawała mi kubek mleka jeden raz dziennie. Czasem przez kogoś, kto z sianokosów jechał do wioski, mama podała mi kawałek chleba. Chleb był czarny z domieszką prosa, ale bardzo mi smakował. Zjadłam od razu cały kawałek. Tak było przez dwa miesiące.

Przy sianokosach pracował brygadzysta Kormylej^c. Mama mówiła, że był dobry dla wszystkich Polaków.

Z Aloszką, synem gospodyni chodziłam w step zbierać "ki-ziaki". Mieliśmy kije z krzewów, które miały kwiaty podobne do akacji. W stepie były gady. Ja nazywałam je żmijami. Idąc, przed sobą szuraliśmy patykami, gady płoszyły się. Patyk służył jeszcze do odwracania krowiego łajna. Odwrócone, w tym upale wysychało szybko, było lekkie. Zanosiliśmy je koło ziemianki. Robiliśmy w ten sposób zapas opału na zimę.

Po powrocie z sianokosów mama kupiła w kołchozie obornik i pociętą słomę. Przy każdej ziemiance był dołek. Do tego dołka złożyła obornik przemieszany ze słomą. Polażyśmy to wodą, wymiesiły nogami. Mama do wypożyczonej foremki wkładała obornik łopatą. Powstawały cegiełki. Schły szybko w słońcu. Mając taki zapas opału nie bałyśmy się nadchodzącej zimy.

Na wiosnę 1942r byłam bardzo słaba. Nie jadłam trzy dni i miałam krwawą biegunkę. Mama tuliła mnie do siebie gładziła po głowie. Wtedy odważyłam się i poprosiłam chociaż o skórkę chleba. Mama się rozplakała. Następnego dnia rano uprosiła

przewodniczącego kołchozu i zgodził się, że przyjęli mnie do przedszkola. Dostawałam tam jeden raz dziennie zupę.

Rok 1942 był dla nas wszystkich bardzo trudny. Urodzaj w kołchozie słaby - podobno z powodu suszy. Ubrań na zamianę za żywność nie mamy. Jesteśmy wychudzeni, chodzimy w łachmanach.

Zboże z kołchozowych pól nie wszystko zostało zwiezione. Stało w kopach na polu, obsypane śniegiem, oblodzone. Zboża pilnował strażnik. Ludzie z wioski chodzili kraść snopy. Najpierw trzeba było rozbić skorupę lodu na kopie. Ze środka wyciągnąć też oblodzone snopy. Mama przynosiła tylko dwa. Więcej nie mogła udźwignąć. W domu jak snopy rozmroziły się, wybierałam z kłosów ziarenka. Było tego zwykle dwie garści. Na osolonej wodzie mama gotowała ziarno. Tą dobrą gorącą zupą żyłyśmy cały dzień.

Nie poszłam do szkoły mimo, że ukończyłam sześć lat. Przyszedł milicjant, upomniał mamę. Powiedział, że zostanie ukarana jeśli nie będę chodzić do szkoły.

Mama się wystraszyła. Od Polaków dostała stolarski ołówek. Zdobyła kilka kart pociętej gazety, na brzegach miałam pisać. Tak wyposażona poszłam do szkoły.

Klasy były łączone, w ławkach ciasno, dzieci dużo. Jak nauczycielka prowadziła lekcje z pierwszą grupą, w tym czasie grupa druga hałasowała. Po powrocie do domu powiedziałam mamie że nie podoba mi się ta szkoła. Nie poszłam więcej. Mama nie nalegała, a stróż porządku już do nas nie przyszedł.

Na wiosnę 1943r przychodziły kobiety z miasta za żywnością. Modliłam się, aby do nas nikt nie przyszedł, my też byłyśmy stale głodne.

Nasza gospodyni Ukrainka Jelena Dońcowa była dla nas dobra. Nie wiem czy mama płaciła jej za mieszkanie. Częstoowała nas czasem ziemniakiem, zupą. Nie widziałam jednak nigdy, by gotowała obiad tak jak u nas. Nie widziałam chleba. Żyli ziemniakami w łupinach i zupą. I nie zawsze mieli tego pod dostatkiem. Pamiętam jak powiedziała gospodyni do mamy:

"Polacy są w lepszej sytuacji od nas. Polacy mają nadzieję, że wrócą do Ojczyzny, do lepszego życia. My i tego nie mamy".

Mama wracała z pracy zmęczona z bolesnymi ukłuciami po komarach. Smarowałam jej te miejsca wixlgotną solą. Chwilowo zabieg bolesny, ale przynosił ulgę.

Na skutek wyczerpania, wyniszczenia organizmu, mama zemdląła w czasie pracy w polu. Przez kilka dni nie wychodziła do pracy.

Agronom Łazowski /matka jego z pochodzenia Polka, katoliczka/ doradził mamie przenieść się do pracy w Koszku do sowchozu. Tam płacili chlebem. Mama skorzystała z tej wyjątkowej okazji. Przenieśliśmy się z p. Miś jej córką i teściem. Zamieszkaliśmy w stajni, w której były szczury. Spaliśmy na pryzkach. Paliliśmy w piecyku kiziakami.

Za pracę w polu dostawała mama przydzieloną porcję chleba. W Koszku chodziłam do przedszkola i tam zjadałam porcję zupy.

Wkrótce zachorowałam na dyfteryt. Felczerka w Koszku skierowała mnie do szpitala. /Kilka dni wcześniej szczepiono nas w przedszkolu p/dyfterytowi/.

Z Koszku do stacji kolejowej zawiózł nas ciężarowy samochód, który jechał w tym kierunku. Zatrzymałyśmy się u zawiadowcy stacji w ^{Jeziornej} Koszku. On z żoną pomagali Polakom. Rano zawiadowca stacji zaprowadził nas do pociągu odjeżdżającego do Kustonaju. Nie było to łatwe, pociągi jeździły nieregularnie, zwykle przekładowane. Na stacji w Kustonaju byli mężczyźni z wózkiem dwukółką. Mama prosiła ze łzami w oczach, aby mnie zawieźli do szpitala. Nie zgodzili się. Żądali zapłaty. Mama niosła mnie na rękach około trzy kilometry.

W szpitalu zaraz mnie przyjęli. Wykapali, obcięli włosy. Dostałam zastrzyk.

W szpitalu też była bieda. W dużym czarnym żeliwnym garnku przynosili ziemniaki w łupinach dwa razy dziennie. Trzeba się było spieszyć, aby zjeść więcej.

Jak ja byłam w szpitalu mama w tym czasie zatrzymała się u Polaków w Kustonaju. Przychodziła do mnie do szpitala pod

okno. ^{Kiedy} Jak ja wyzdrowiałam, miałam wychodzić ze szpitala, mama zachorowała na dyfteryt i skierowana została do szpitala. Lekarz był dobry. Przedłużył mi pobyt w szpitalu pod jakimś pretekstem na czas leczenia mamy.

Po wyjściu ze szpitala mama odwiozła mnie do Żarku do naszej gospodyni Jeleny Dońcowej. U niej mnie zostawiła. Sama wróciła do Kustonaju. Polacy pomogli znaleźć jej tam pracę. Pracowała w zakładzie fryzjerskim, jako magazynierka i mieszkała w tym magazynie.

Z czasem dostała ziemiankę na peryferiach Kustonaju. Zamieszkała z p. Jadwigą Kęsik i jej córką Danutą. Zabrała mnie od Jeleny Dońcowej.

Krótko byliśmy razem. Mama zachorowała na malarię. Leżała w wojskowym szpitalu. Mną zaopiekowała się p. Chraściszewska. W tym czasie chodziłam do świetlicy. Były tam dzieci w różnym wieku i tylko, rosyjskie. Dokuczały mi wyzwiskami: "diabelska Polka". Trzeba było cierpieć. Zjadałam tam jeden raz dziennie zupę.

Jak mama wróciła ze szpitala, już teraz zawsze byliśmy razem.

Mama poszła do pracy do zakładu fryzjerskiego. Zaopatrzeniowcem był Wańka Karelec. Przywoził do magazynu wodę końską w 20 litrowych pojemnikach. Mama na zlecenie dyrektora odlewała jeden litr wody kolońskiej i na połowę dzieliła się z dyrektorem. Ubytek uzupełniała zwykłą wodą. Kradzioną wodę kolońską sprzedawała. Za miesięczny zarobek z pracy mogła kupić wiaderko ziemniaków, lub jedną porcję zupy przez cały miesiąc. W przyzakładowej stołówce kupowała mama zupę jedną porcję i obie jadłyśmy jeden raz dziennie.

Za kawałek mydła przyniosła mi kilka łyżek cukru. Cukier zjadałam razem z Dariuszą Kęsik.

W Kustonaju w zakładzie fryzjerskim mama poznała bogatą Rosjankę. Zaprosiła nas do siebie do mieszkania. Dla mnie był szok. Z walącej się ziemianki poszliśmy do pięknego mieszkania. "Prawdziwe meble", podłoga malowana, w oknach firanki. Taki

luksus. Częstowali nas chlebem.

Rodzina ta miała córeczkę Wieroczkę. Chdziłam się z nią bawić. Dostałam u nich jabłko. Nie zjadłam, ale poprosiłam, aby pozwolili mi wziąć do domu. Jabłko zjadłyśmy w ziemiance z Danusią Kęsik.

W zakładzie fryzjerskim mama z białego płótna cięła serwety o dziesięć centymetrów krótsze. W ten sposób zaoszczędziła kawałek płótna, z którego uszyła mi koszulę.

Ludzie przekazywali sobie wiadomość, że będziemy wyjeżdżać do Polski.

Zaświadczenie z Urzędu Patriotów Polskich upoważniało do wyjazdu z Kustonaju. Żyliśmy w napięciu i z nadzieją.

W nocy ktoś zastukał w okienko ziemianki i po polsku powiedział: "transport na stacji w Kustonaju". Mama nie zdążyła zapytać kto to, bo mężczyzna ten pobiegł dalej.

Mama poszła do sąsiada Kazacha z prośbą, aby odwiózł nas na stację w Kustonaju. Kazach zaprzęgnął wielbłąda do furmanki, nas i panią Kęsikową z córką odwiózł na dworzec. Pożegnał serdecznie, zapłaty nie przyjął.

W Kustonaju stał pociąg. Polaków było dużo i ciągle przychodzili. Z trudem upychali się w wagonach towarowych.

Odjechaliśmy dopiero następnego dnia. Mama zdążyła jeszcze iść do pracy i zdać magazyn.

Z Kustonaju wyjechaliśmy z końcem września. W Korzance byliśmy 31 X 1944r

W wagonach towarowych byliśmy stłoczeni, wszyscy chcieli jechać bliżej Polski. Na drogę nic nam nie dali do jedzenia. Żyliśmy tym co kto miał.

W wagonie był piec żelazny z rurą wypuszczoną na zewnątrz. Jak pociąg jechał, dym cofał się do wagonu. Na tym tle powstał konflikt. Jedni chcieli palić w piecu bo zimno, inni krzyczeli udusimy się dymem.

W Korzance umieścili nas w hotelu robotniczym. W pokoju były żelazne łóżka, drewniana podłoga, światło elektryczne i radio kołchoźnik. Tylko jeść się chciało. Polacy tutaj nie pracowali nie było gdzie.

Dyrektor cukrowni był całą władzą. Zapisał nas, wydał talony na melasę. Wszyscy talony sprzedali miejscowym. Robili podobno z melasy samogon. Oprócz talonów dostałyśmy trochę melasy, jadłyśmy łyżkami - jak największy przysmak.

Zachorowałam na odrę. Mama na wsi zdobyła miód i to było jedyne lekarstwo.

Pani Eleonora Modzelewska miała 14-letniego syna. Została go pod opieką Polaków. Sama pojechała bez zezwolenia do Lwowa. Miała tylko z sobą kilka butelek samogonu. Pojechała do naszych rodzin. Wróciła szczęśliwie. Przywiozła dla nas żywność, ubrania, pieniądze. Najważniejsze dla nas było to, że rodziny nasze zaczęły nam przysyłać dokumenty, iż nie mogą wyjechać do Polski, bo czekają na rodziny w Korzance.

Poszłam z mamą sprzedać na targu jakieś ubranie przywiezione przez p. Modzelewską. Wszystko mnie tam interesowało. Zobaczyłam na serwecie bochenek chleba. Piękny, biały chleb o którym tyle się mówiło na zesłaniu. Mama kupiła mi ten chleb.

Stryj Tadeusz Wałęga ze Lwowa przysłał nam zaświadczenie potwierdzone przez NKWD, że czeka na nas by wyjechać do Polski. Na tej podstawie mama otrzymała w Kijowie w NKWD zezwolenie na wyjazd.

Z Korzanki wyjechałyśmy 26 V 1945r na własny koszt do Złoczowa. Bałyśmy się jechać do Lwowa, by komuś nie zaszkodzić.

Koczowałyśmy w Złoczowie na stacji kilka dni. Dołączyłyśmy do pociągu, którym wyjeżdżała cała wieś z księdzem i kierownikiem szkoły.

W ten sposób wróciłyśmy do Polski z p. Modzelewską i jej siostrą Prociukową. Pojechałyśmy do Grudziądza do ich rodzin.

Mama napisała listy do naszej rodziny. Pierwszy przyszedł list od brata mojego ojca z Krosna nad Wiązką. Pojechałyśmy do Krosna.

Oswajałam się z innym życiem. W domu podłoga parkietowa, światło, gaz, woda. W oknach firanki. Łazienka ze spłuczką na łańcuszek. Wszystko to bardzo mi się podobało. I obiady - normalne obiady, ciastka, cukierki, owoce.

Tato poszedł na wojnę w sierpniu 1939r. Wrócił 9 I 1947r z Anglii.

Wkrótce zainteresował się nim Urząd Bezpieczeństwa. Musiał co kilka dni wypełniać identyczne ankiety. Tak było do 1954r. Z czasem zainteresowanie ojcem było mniejsze, aż w końcu dali spokój. Tato zmarł w 1959r.

Za zgodność: - - - - - *Teresa Bugajska*
Teresa Wałęga-Bugajska
38-400 Krosno
ul. Kręta 18

Krosno dnia, 5 XI 1990r

Wspomnienia spisała
Czesława Tarnawska
Czesława Tarnawska